

– Wyobraź sobie – żalił się – miałem już w dziewięćdziesięciu procentach optymalny skład, brakowało mi tylko Grzesia Lato, a tu takie świństwo. Będzie trudno Jureczku, ale jakoś damy sobie radę. A co stanie się później? Bóg raczej wiedzieć...

Reprezentacyjne wizje Ryszarda Kuleszy przysły jak bańka mydlana. Wyrywać nagle ze zdrowego organizmu cztery dotychczas dobrze funkcjonujące ogniwa, to ubytek trudny do zastąpienia. A tu jeszcze z Lokeren nie dotarł Grzegorz Lato! Znowu trzeba było przypomnieć Rysiowi przedwojenną przyspiewkę Kazimierza „Lopka” Krukowskiego *„Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma...”*. Lubić można, ale... pogodzić się z tym trudno. Kiepska gra i niezbyt korzystny wynik gry kontrolnej z Perugią nie nastrajały optymistycznie. Z Rzymu do La Vallety odlecieliśmy więc z duszą na ramieniu. Licho nie śpi...

W trybie doraźnym dołączył do ekipy prezes PZPN, Marian Ryba. Zastąpił odwołanego z tej wyprawy „trefnego” wiceprezesa, Zbigniewa Należytego. Niezbadane są wyroki niebios. Jeszcze wiosną 1980 roku Zbyszek wraz z generałem i przy dużej mojej pomocy redakcyjnej opracowywał **„Węzłowe kierunki działania PZPN na lata 1980 – 1985”**, a teraz poczuł się jak trędowaty. Poniósł karę za „kawaleryjską szarżę” Józefa Młynarczyka i dowody serdecznego doń stosunku kolegów z reprezentacji: Bońka, Terleckiego i Żmudy. Zabrakło takiego ludzkiego spojrzenia w ówczesnym kierownictwie PZPN. A przecież zapowiedziano w „Węzłowych kierunkach...”, że „przykład idzie z góry”:

... Brak konsekwencji w wielu działaniach władz piłkarskich, ich słabość w podstawowych sprawach organizacyjnych, szkoleniowych, wychowawczych, dyscyplinarnych, doprowadziły do zakłóceń w funkcjonowaniu klubów i innych komórek podległych zarządowi Związku... Każde nasze niedociągnięcie wywołuje głęboki rezonans w społeczeństwie. Sypią się gromy ostrej krytyki pod adresem tych, którzy kierują polskim piłkarstwem.

Zasadne stało się właśnie teraz pytanie: – „Jakie to gromy posypią się po – tak to wtedy określano – „aferze na Okęciu” i (odpukać w niemalowane drzewo) po ewentualnym bezbramkowym remisie na Malcie. Kpię czy o drogę pytam? Przypominam tylko, że tak zaskakujących wyników ze słabeuszami w przeszłości przytrafiło się nam sporo, zresztą nie tylko w meczach wyjazdowych. Na przykład długo czkawką odbijało się 0:0 z Estonią, Albanią, Norwegią i z Luksemburgiem. Obawy Kuleszy były więc uzasadnione. Ślęczał po nocach nad zieloną tablicą. Ustawiał na niej i przesuwał pionki symulujące obraz gry z Maltańczykami. Przeżywał katusze, bo to była li tylko namiastka tego czym mógł tu postraszyć gospodarzy. Wzdychał zakłopotany: – *Gdybym tu miał chociaż Grzesia Latę...* Ale zaraz brał się w garść i pokrzykiwał: – *Odwagi! W górę serca!...*

Złośliwcy podkpiwali, że z Malcią „zagrał skład desek”. No, cóż – wtedy stać nas było tylko na taką reprezentację. W „maltańskiej” drużynie wystąpiło zaledwie kilku późniejszych mundialowców. A jednak w La Vallecie ten niby „skład desek” wygrał 2:0! Stres, duże napięcie po wydarzeniach na Okęciu, nie przerosło się w zwątpienie, nie zdołała zwalić z nóg frustracja. Niekorzystna sytuacja kadrowa spotęgowała ambicje „chłopców Kuleszy”, do granic rzadko spotykanych, wyzwoliła sportową złość. Spory wpływ na taki stan ducha miała również maltańska prasa. Pocieszała kibiców, że z Polską, która wystąpi w tak „nędznym składzie”, można i trzeba wygrać!

Do przerwy wszystko układało się po myśli marzycieli z La Valletty, rzeczywiście było 0:0. Również pierwsze minuty po przerwie były dla miejscowych udane. Uwierzyli w swoją szansę i energicznie zaatakowali. Nasi dość długo nie mogli uchwycić właściwego rytmu. Najszybciej do trudnych warunków przystosowali się Andrzej Iwan i Marek Dziuba (nasz kapitan w tym pojedynku), który tym razem – wobec niespodziewanej kontuzji Janusza Kupcewicza – wystąpił na środku pomocy. Luki dostrzegało się w każdej formacji. Na lewej obronie

jednak dość szybko debiutanckiej tremy pozbył się Ryszard Milewski, a Smolarek, Iwan, Dziuba i Mowlik potwierdzili dużą klasę i dobrą formę. Byli w tym meczu podporą „biało-czerwonych”. Tak to opisałem w „Piłce Nożnej”:

„Był już siódmy dzień grudnia, ale na Malcie aura, jak u nas u schyłku lata. Ciepło. Żadnej chmurki na niebie, najmniejszego podmuchu wiatru. Z okien Tower Palace Hotel, gdzie Janusz Jeleń ze „Sportu” Katowice, Jan Ciszewski z TVP i ja, Jerzy Lechowski zamieszkaliśmy wraz z całą ekipą, dokładnie widać było płaską taflę Morza Śródziemnego. Promenada przy Binazza Street wypełniona spacerowiczami. Nasi piłkarze też wdychają morskie powietrze, kilku śmiazków wystawia twarze do słońca. Ja, w towarzystwie prezesa PZPN popijam „Heinekena” z beczki. To najlepsze piwo na świecie! Przyłącza się trener Kulesza. Nie pije, tylko zwierza się ze swoich przemyśleń:

Będzie dobrze... Zawodnicy muszą jednak pamiętać o założeniach taktycznych. Wczoraj wieczorem spotkałem się z mieszkającym na Malcie sir Stanleyem Matthewsem. Ten legendarny piłkarz angielski przekazał mi sporo pozytywnych wskazówek o drużynie naszego rywala. Odkrył też wszystkie tajemnice groźnego stadionu „The Gzihra”. Tu bardziej liczą się spryt, inteligencja i oczywiście technika, niż uporczywa walka. Trzeba szybko zgrywać piłki, wychodzić na wolne pozycje i strzelać już zza pola karnego...

Tak właśnie starali się grać Polacy. Już w pierwszej połowie mogli prowadzić, ale dwóch doskonałych sytuacji nie wykorzystał Smolarek. Przerwa. Naszą szatnię i otwartą trybunę chronią policjanci, część na koniach, pozostali w zwartym szeregu twarzą do widowni. Można się było czuć bezpiecznie. Pozory. Mundurowi nie zdołali zapobiec skandalowi. W 77 minucie spotkania, choć już wcześniej pachniało zadymą, zaczął się prawdziwy horror. Właśnie wtedy Włodek Smolarek, w myśl przysłowia „do trzech razy sztuka”, już nie spudłował i nasza drużyna objęła prowadzenie. Złowrogi pomruk na trybunach. Dotychczas dość

spokojna widownia staje się agresywna. Większość maltańskich piłkarzy też nie przebiera w środkach. Faulują. Trener Victori Scerri wrzeszczy jak ranione zwierzę. Liczyli na sukces, a tu takie zaskoczenie! Zamierzony cel wyraźnie się oddała. Irytuje ich radość Smolarka. Cieszy się ze zdobytego gola, unosi w górę ręce, wiwatuje. Sędzia Duszan Maksymowić nieco temperuje zapał Polaka, ale widownia wciąż reaguje złowrogo.

Maltańscy piłkarze też zapominają o „fair play”, złości ich niepowodzenie, polują głównie na Smolarka. W roku 1973 Anglik Mc Farland poniewierał na Wembley Grzegorza Latę, teraz Edwin Farrugia stara się poturbować Włodka. Sędzia interweniuje. Wyciąga żółtą kartkę, choć powinien czerwoną. Faul był obrzydliwy. Jest ich coraz więcej, bo Maltańczycy zaczynają uprawiać zapaśy w stylu wolnym. Wszystkie chwytty dozwolone! Won technika, teraz liczy się tylko siła i napór za wszelką cenę. Do czasu... W oczach daje o sobie znać zmęczenie gospodarzy. Jeszcze próbują atakować, ale z każdą chwilą stają się nieporadni, po stracie piłki już nie wracają w porę pod własną bramkę. W to nam graj, robi się luźniej, jest więc szansa na kolejną bramkę. Świetnie kontratakuje trio z Wisły Kraków: Piotr Skrobowski, Andrzej Iwan, Leszek Lipka i jest 2:0! Widownia zaskoczona. Miała nadzieję, że sędzia przed strzałem odgwizdże spalonego, tymczasem energicznym ruchem ręki i stanowczym głosem, nakazuje: – Grać dalej!

Maksymowić tą odważną i w pełni uzasadnioną decyzją rozpałił najpierw część widowni zwaną „Palestyną”, a potem doprowadził do szału cały stadion. Posypały się na pustynną płytę butelki, puszki po piwie, owoce i różne przedmioty osobiste. A gdy ich zabrakło rozsierdzeni Maltańczycy rozbijali wapniowe skały. Grad pocisków spadł na boisko. Barbarzyństwo! Tolerancyjny sędzia długo zwlekał z przerwaniem meczu. Ale kanonada trwała. Kontynuowanie gry stało się niemożliwe, w 77 minucie Jugosłowianin odgwizdał koniec spotkania.

Dolał tą decyzją oliwy do ognia. Spotęgował zwierzęce instynkty sfrustrowanych kibiców. Grozą. Nie pozwalają graczom i sędziom zejść z obłęzonego boiska. My, dziennikarze piszący i mówiący też obawiamy się o całość naszych ciał. Wytykają nas palcami. Nikt nas nie chroni, nikt nie podaje przyjaznej ręki. Nie ma porządkowych. A bandyckie pociski wciąż fruwać nad naszymi głowami. Dopiero gdy zabrakło „amunicji”, bombardowanie ustało. Niepowtarzalna „oprawa” meczu o mistrzostwo świata! Można było odnieść wrażenie, że to ludzie z innej planety tak mordują piłkarskie widowisko. A to tylko dalekie południe Europy...

W „Piłce Nożnej” z detalami opisałem ten mecz w dwóch reportażach „**Dreszczowiec**” i „**Mecz grozy**”. Na gorąco było to dla mnie ważniejsze, niż aspekt czysto sportowy, też ważny, bo w tak ekstremalnych warunkach przed Espana’82 wywieźliśmy z Malty dwa cenne punkty. Relacjonowałem przebieg tego dramatycznego meczu również dla „Przeglądu Sportowego”. W drodze powrotnej do kraju wraz z red. Januszem Jeleniem na dwa dni zatrzymaliśmy się w Rzymie. Zwiedziliśmy Watykan i inne cuda Wiecznego Miasta. Do fontanny Trevi wrzuciliśmy drobne monety za pomyślność reprezentacji i zawieszonych zawodników. Jeden mecz, a tyle atrakcji...

Do „Przeglądu Sportowego” również nadałem dwie korespondencje. Pierwszą zaraz po meczu z La Valletty, tę drugą następnego dnia już właśnie z Rzymu. Bajeczna sceneria. Hotel „Boston”, gdzie zatrzymaliśmy się z red. Januszem Jeleniem, usytuowano w bliskim sąsiedztwie parku Villa Borghese. Przeżywałem tam swoiste rozdwojenie jaźni. Trudno było zachować podzielność uwagi. Do Warszawy przez telefon przekazywałem pomeczowy komentarz, a z okien hotelu „Boston” sterowany jakąś „siłą wyższą” kierowałem wzrok na słynny park i zieloniutki w nim egzotyczne drzewa. Gdzieś w dali jawiły mi się kontury bogactw kardynała Borghese: pomniki, fontanny, pomysłowe budowle. Jakiś czarodziejski ogród. Takie chwile są niezapomniane...

W hotelu „Boston” też przeżywano wczorajszy mecz. Zapytano mnie, jak to się stało, że skoro z trybun lawinowo leciały pociski, żaden z zawodników ani sędzia Maksymowicz nie został raniony. To jakiś cud! Sam się temu dziwiłem, bo przecież – będąc w środku tej zawieruchy – jestem w Rzymie zdrowy i cały. Ciekawskim gościom przekazałem więc opinię zasięgniętą u psychologa dra Marka Pilkiewicza:

Tłum działał według jednego stereotypu. Kibice mieli pretensję tylko do arbitra tego meczu i tylko na nim chcieli dokonać samosądu.

Co ich uspokoiło?

To, że polscy piłkarze, także jugosłowiański sędzia nie ulękli się gradu pocisków i sami, bez eskorty policji, udali się do szatni. Szaleńców rozbroiła ich odwaga. Złe instynkty powoli gasły. Ulice też stawały się spokojniejsze. Pogodzeni z losem kibice zaczęli się rozchodzić do domów...

Zaraz po wygranym meczu na Malcie do akcji wkroczył Wydział Dyscypliny PZPN. Jego przewodniczącym był wówczas pułkownik WP, Stefan Bomba. Przy stole biesiadnym fajny kumpel, po każdym kielichu uparcie powtarzał, że „boh trojcu liubit”... Przywykłym do takiej normy szło to w miarę gładko. Bomba wówczas nie ustępował, powiększał skalę trudności w postępie geometrycznym: – „Boh tri raza trojcu liubit... To już przerastało możliwości „przygodnych gości”.

Stefan był w tamtych czasach działaczem nietypowym, ot takim „białym krukiem” wśród gromadnie krakających wron. Cenili go ludzie prawi, sprawiedliwi, bezstronni. Zjednał ich sobie fachowością i odwagą w podejmowaniu decyzji. Z reguły bronił piłkarzy. Nie zdołał jednak przeforsować swoich racji po „aferze na Okęciu”. „Moralisci” z Wydziału Dyscypliny stanęli wobec szefa okoniem i zdyskwalifikowali niemal połowę reprezentacji: Bońka, Młynarczyka, Terleckiego i Żmudę. Cios w selekcyjona i jego drużynę. Gdzie zrodził się ten samobójczy pomysł?

Stanisław Terlecki, nie ukrywam – gracz darzony przez mnie dużą sympatią w swoich długachnych piłkarskich opowieściach pt. „**Z lewej mańki**”, taką oto postawił diagnozę:

...„Czy to nie dziwne, że dziennikarze znaleźli się na Okęciu tak szybko i to w tak licznych składach. Ktoś się więc postarał, by nadać sprawie rozgłos. Jestem przekonany, że to był z góry ustalony scenariusz. Kamery rozstawione, wszystko przygotowane do kręcenia. Autorzy przedstawienia chcieli odwrócić uwagę społeczeństwa od tego, co działo się wtedy w Polsce. Pokazać, że sportowcy, którym tak dobrze się powodziło, nadużyli zaufania rodaków. A przypomnę, że był to grudzień 1980 roku”.

Wciąganie sportu w ogóle, a piłki nożnej szczególnie w niszczące tryby polityki od dawna było jedną z wypróbowanych form propagandy sukcesu, a także łagodzenia społecznych nastrojów. Nie wiem czy akurat wtedy sugestie Terleckiego były trafne, ale też jestem przekonany, więcej – wiem o tym, że wierchuszka PZPN nie sprowokowała „afery na Okęciu”. Tu rzeczywiście ktoś z „wyższego szczebla” musiał w tym maczać swoje palce.

Ryszard Kulesza pierwszy demonstracyjnie odciął się od tego wyroku. Zrezygnował z funkcji selekcyjnego. Zaraz po nim ustąpili: generał prezes – Marian Ryba, wiceprezes do spraw organizacyjnych inżynier Zbigniew Należyty i oczywiście Stefan Bomba. Pułkownik znalazł się wtedy w wyjątkowo niezręcznej sytuacji. Trzymał stronę piłkarzy i Kuleszy, tymczasem ligowa szlachta zaściankowa głównie jego obciążała za te drakońskie kary. Nie protestował, współczuł tylko Rysiowi Kuleszy. Ujął się za nim również Ryszard Koncewicz. Dintojra w prezydium Związku.

Wrzało również w klubach, zwłaszcza w Łodzi przychodziły ludziom do głowy nierealne pomysły. Tu znów powołam się na zwierzenia Stasia Terleckiego:

...„Po przyjeździe do Polski szybko spotkaliśmy się z działaczami Widze-wa i ŁKS, by ustalić taktykę działania. Prezesa Ludwik Sobolewski i Stanisław

Olek oraz my piłkarze: Młynarczyk, Żmuda, Boniek, Terlecki i Smolarek. Padła propozycja, by ŁKS i Widzew wyszły ze struktur PZPN, namówiły na to jeszcze kilka klubów, utworzyły nową federację i zorganizowały odrębne rozgrywki ligowe. To z pozoru desperacka zagrywka mogła mieć sens. Oderwanie się od komunistycznej struktury mogło się spotkać z aprobatą „Solidarności”.

A więc znowu próba grzebania się w polityce. Przed Mundialem w Hiszpanii nie było by to najlepsze rozwiązanie. Zresztą, dotychczasowe kierownictwo już było za burtą, a reprezentacja nie miała trenera... Czy to już wszystko na temat smutnej „afery na Okęciu”? Oficjalnie tak, w każdym razie w takiej wersji przedstawiono to całe „wydarzenie” na początku 1981 roku. Przez ponad następnych dwadzieścia lat od czasu do czasu ktoś na moment wracał do tej sprawy, nie wnosząc jednak do meritum już nic nowego. Co najwyżej wytykano głównie wiceprezesowi PZPN, Zbigniewowi Należytemu, że w zarodku nie „wyciszył” tej wpadki Józka Młynarczyka. Przecież nie on pierwszy i nie ostatni lubił chadzać własnymi ścieżkami. Należyty dobrze o tym wiedział, można jednak przypuszczać, że w mocno napiętej wtedy sytuacji społeczno-politycznej nie chciał zaognić sprawy. Mam na to konkretne dowody. Okazuje się bowiem, że naganne zachowanie wytknęli bramkarzowi nie tylko wścibscy dziennikarze i przewrażliwieni sportowi prominenci, lecz także... koledzy z reprezentacji.

Napisali do PZPN list, w którym wyrazili swoją opinię o słabości Młynarczyka. Poprosili, by właśnie Należyty odczytał go na zebraniu zarządu Związku. Wiceprezes jednak schował pismo do kieszeni, a następnie zaklućzył w domowym sekretarzyku. Nigdy nie dotarło na obrady kierownictwa PZPN. Kierował się Należyty dobrem reprezentacji, Młynarczyka czy swoim własnym? Właściwą odpowiedź na to pytanie daje treść oświadczenia zawodników. Na szczęście nigdy nie ujrzało światła dziennego, dopiero teraz po

raz pierwszy podaję jego treść do publicznej wiadomości. Dotychczas o istnieniu tej tajemniczej korespondencji wiedzieli tylko członkowie kadry narodowej udający się na Malte i wiceprezes Należyty. Ostatnio kopia dotarła do „świadka koronnego”. Zachęcam do wnikliwej analizy tego pisma. Ilustruje atmosferę tamtych czasów.

Do Zarządu Polskiego Związku Piłki Nożnej

Reprezentacja Polski w porozumieniu z trenerem selekcjonerem zwraca się do Zarządu PZPN o zaakceptowanie sankcji jakie wyciągnęliśmy w stosunku do naszego kolegi J. Młynarczyka.

Postanowiliśmy:

Ukarać J. Młynarczyka naganą z wpisaniem do akt reprezentanta Polski.

J. Młynarczyk przeznaczy kwotę 15 000 złotych na prezenty świąteczne dla dzieci z Domu Dziecka w Pyrach.

J. Młynarczyk zachował się nagannie opuszczając bez uzasadnienia zgrupowanie w nocy z 28/29.11.80r. Taka postawa naszego kolegi nie zyskała akceptacji drużyny reprezentacyjnej, która wyciągając konsekwencje w postaci wyżej wymienionych sankcji, dała dowód swej dezaprobaty w stosunku do J. Młynarczyka.

Podkreślamy, iż kara wymierzona J. Młynarczykowi w wewnętrznym gronie drużyny uświadomi reprezentantów Polski, że w przyszłości nie będziemy tolerować podobnych występów, lecz sami będziemy domagać się o surowe karanie niezdyscyplinowanych zawodników.

Prosimy o opublikowanie w prasie powyższego pisma.

Zawodnicy Reprezentacji Polski

Pod tym listem podpisało się 14 zawodników. Którzy? Na pewno nie ma tam parafy Józefa Młynarczyka i najprawdopodobniej Stanisława Terleckiego. Głowy za to dać nie mogę, bo nie wszystkie podpisy są łatwe do odczytania. Nie ulega jednak wątpliwości, że obok Ciołka, Dziuby, Janasa, Kupcewicza, Lipki i Smolarka, które są najbardziej czytelne, figurują również nazwiska Zbigniewa Bońka i Władysława Żmudy. Uczynili to (i kiedy?) z własnej woli czy ktoś ich do tego zmusił? Wszak powszechnie wiadomo, że obok Terleckiego właśnie ci dwaj zawodnicy najmocniej wstawiali się za Młynarczykiem i głównie z tego powodu zostali ukarani i na pewien czas wykluczeni z reprezentacji.

Operacja Mundial '82 zagrożona. Wyłoniono władze tymczasowe. Funkcję pełniącego obowiązki prezesa powierzono Jerzemu Białkowi z CRZZ, a cały pion szkolenia oddano w ręce pułkownika Henryka Celaka z MSW. Tu już nie było miejsca dla Forysia, Koncewicza, Kuleszy, Lechowskiego i Loski. Nowe towarzystwo mocno pachniało Rakowiecką. Stan tymczasowości trwał kilka miesięcy. W kwietniu zwołano Nadzwyczajne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze. Ster Związku przejął dr Włodzimierz Reczek przez wiele lat przewodniczący Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki. Szef resortu z czasów, kiedy piłkę nożną zaliczono do czwartej kategorii sportu w Polsce i uchwalono „czterolatkę piłkarską”. Ale to było dawno i – zdaniem niektórych – nie prawda. Pułkownik Celak utrzymał tekę wiceprezesa, wrócił na stare śmiecie Leszek Ryłski.

Kandydatura Włodzimierza Reczka była jedyna i w tamtych czasach niepodważalna. Wygrał w cuglach. Nieco gorzej poszło ze skompletowaniem zarządu i prezydium PZPN. „Trzymający władzę” już mieli gotowe listy, ale delegaci trzeźwiej i szerzej myślący nieco pokrzyżowali im szyki. Znowu stawiali na Ryszarda Koncewicza, Zbigniewa Należytego i Stefana Bombę, ale żaden z nich nie przyjął zaproszenia. Mnie też usiłowano podłechtąć funkcją wiceprezesa sportowo-szkoleniowego. To nie dla mnie towarzystwo. Pierwszym i nie-

wątpliwie najważniejszym zadaniem nowego zarządu i prezydium PZPN było powołanie nowego selekcyjera. W Warszawie nie znaleziono dobrego kandydata, postawiono więc na Antoniego Piechniczka.

„I'm sorry” czyli Antek tym razem przyjął tę prominentną propozycję. Był to dobry wybór. Za Piechniczkiem przemawiała wiedza, doświadczenie, długi staż ligowy w Legii i Ruchu Chorzów oraz kilka udanych występów w reprezentacji. Ślązak wyrósł w szkole Michała Matyasa, Ryszarda Koncewicza i Teodora Wieczorka był więc stanowczy i odpowiedzialny, pracowity i racjonalnie myślący, skuteczny w realizacji zadań. Potwierdził te zalety jako trener Odry Opole. Wierzył w swój dobry warsztat trenerski. Już w pierwszym meczu o punkty mistrzostw świata położył na łopatki „niewygodnego” dotychczas rywala z NRD. Pupil Antka, Andrzej Buncol zdobył zwycięską bramkę.

Wygrana 2:0 na Malcie kosztowała mnie sporo zdrowia, teraz też długo denerwowałem się na Stadionie Śląskim. Te wszystkie dolegliwości były jednak wkalkulowane w „operację Mundial'82”. Jeśli wygramy eliminacje, polecę z drużyną do Hiszpanii. Do pełnego szczęścia piłkarzom, Piechniczкови i mnie brakowało jeszcze dwóch zwycięstw w rewanżowych meczach z NRD w Lipsku i z Maltą we Wrocławiu. Zabiegaliśmy, by zagrali w nich Młynarczyk i Boniek. Potrzebna tu była przychylna decyzja nowych władz PZPN. Rozsądnie postąpiono już przed pierwszym meczem z NRD, odwieszając Władysława Żmudę. Teraz trzeba było pomyśleć o rehabilitacji Józefa Młynarczyka i Zbigniewa Bońka. A co ze Stasiem Terleckim? Akurat wtedy jakimś cudownym zbiegiem okoliczności wydębił na Koszykowej dwa prywatne paszporty, a potem wizy i pofrunął samolotem do USA. Zaczynał tam jak Kopciuszek, a skończył jak piłkarzski Królewicz. Dziecko szczęścia.

Antoni Piechniczek nalegał w PZPN na szybkie podjęcie decyzji. Ostrzegał, że bez dobrego bramkarza i sprytnego Bońka trudno będzie wygrać w Lip-

sku. Cel osiągnął, ale też naraził się na krytykę. Po przegranych meczach towarzyskich z RFN i Portugalią ten i ów w PZPN pluł sobie w brodę: – *I po co nam to było?* Rzeczywiście, z Niemcami w Chorzowie i z Portugalczycami w Lizbonie Młynarczyk i Boniek jeszcze nie błyszczeli, ale o ich umiejętności i powrót do reprezentacyjnej formy byłem spokojny. Denerwowały jednak próby selekcyjera z Krystianem Walotem i Tadeuszem Dolnym. Odebrałem to jako ukłon trenera pod adresem piłkarzy z klubów śląskich. Tu potrzebni są: Janas, Majewski, no i oczywiście tandem Lato-Szarmach!

Piechniczek nie był w ciemię bity. Powołał całą tę czwórkę na mecz w Lipsku. Ściągnął też Jana Tomaszewskiego, choć w głębi duszy (i słusznie!) stawiał na Młynarczyka. Na Sport-Forum, rzekomo tak samo „szczęśliwym”, dla Niemców jak nasz „śląski stutysięcznik” dla Polaków, pojawił się niemal taki sam polski zespół, jaki wymarzyłem sobie na Espana’82: Młynarczyk – Dziuba (Wójcicki), Janas, Żmuda, Jałocha – Lato, Matysik, Majewski, Boniek – Szarmach (Iwan), Smolarek. Brakowało mi tylko Janusza Kupcewicza i Dariusza Dziekanowskiego. Ten drugi, zdaniem Piechniczka, nie dorównywał jeszcze Andrzejowi Pałaszowi. Trochę mnie to śmieszyło, bo już w meczu Polska – Malta (6:0) we Wrocławiu kończącym eliminacje, Pałasz był wyraźnie w cieniu Dziekanowskiego. Później Darek przerósł rywala zdecydowanie. W Hiszpanii przydałby się również Kazimierz Buda.

Klimat miesiąca października od lat jest sojusznikiem naszych piłkarzy. Potrafią to wykorzystać. Tak było w roku 1957 w pamiętnym meczu z ZSRR w Chorzowie, tak w 1973 na Wembley, a teraz w Lipsku. Butni Niemcy zapowiadali, że znowu połkną „biało-czerwonych” jak śliwkę w kompocie. Andrzej Szarmach i Włodzimierz Smolarek już po sześciu minutach gry wybili im z głowy te pogroźki i... hiszpański Mundial. Wygraliśmy tę wojnę nerwów 3:2. Polska po raz czwarty w finałach mistrzostw świata! Wybrańcy Piechniczka po-

twierdzili wagę tego sukcesu udaną wyprawą do Buenos Aires. Na stadionie River Plate pokonali niedawnego mistrza świata 2:1. Zwycięskie bramki zdobyli Buncol i Boniek.

Początek lat osiemdziesiątych był więc dla reprezentacyjnego piłkarstwa pomyślny. Wygrywali nie tylko seniorzy. Juniorzy dwukrotnie zajęli drugie miejsce w Europie, a młodzieżowcy dopiero w ćwierćfinale minimalnie ulegli Anglikom. Gorzej wiodło się drużynom klubowym. Przełknąłem wraz z nimi kilka gorzkich pigułek. Jeszcze w końcu lat siedemdziesiątych Ruch Chorzów, trenowany wtedy przez Leszka Jezierskiego, wyraźnie mnie zawiodł w meczu z Dynamem Berlin (1:4), a w roku 1980 Szombierki Bytom do rozpaczy doprowadziły po przegranej 0:4 z CSKA Sofia. To już taki drugi blamaż przeżyłem w Bułgarii, w roku 1966 również 0:4 przegrał sam „wielki” Górnik Zabrze. O drużynie Szombierek mówiono wtedy: „na bezrybiu i rak ryba...”. Hubert Kostka się wściekał. Czy tylko on?

Ówczesnej władzy usuwał się grunt pod nogami. Wyraźnie załamywał się realny socjalizm. Atmosfera była napięta, wzrastało społeczne niezadowolenie, szerzyły się protesty i strajki. Rosła w siłę opozycja. Starły się więc dwa obozy: obrońcy starego, totalitarnego porządku nakazowo-rozdziałczego ze zwolennikami nowych idei, nurtu niepodległościowego, wolnego rynku i demokracji parlamentarnej. Z każdym dniem walka tych systemów przybierała na sile. W dniu 13 grudnia 1981 roku wprowadzono stan wojenny. Czarne chmury zawisły teraz również nad piłkarską reprezentacją Polski. Przerwano kontakty międzynarodowe. Ostatni mecz towarzyski z Hiszpanią „biało-czerwoni” rozegrali w drugiej dekadzie listopada w Łodzi. Wtedy ostatecznie z reprezentacją pożegnał się Jan Tomaszewski. Powrót na arenę międzynarodową nastąpił dopiero na Espana’82 w połowie czerwca 1982 roku. Pół roku sportowej wegetacji.

TAJEMNICE HISZPAŃSKIEGO MUNDIALU

Sympatycy piłkarstwa byli zaniepokojeni. Czy w tych anormalnych warunkach, zupełnie odmiennych od tych, jakie w latach 1974 i 1978 mieli Górski i Gmoch, Piechniczek sobie poradzi? Nie płynął pod prąd. Dobrze ułożył sobie stosunki z trenerami i działaczami w klubach i PZPN, miał też za sobą piłkarzy i dziennikarzy, tak samo jak on, odczuwającymi ograniczenia i zagrożenia stanu wojennego. Piechniczek, uchodzący za trenera „twardej ręki”, upartego i konsekwentnego w pracy z reprezentacją, miał teraz duży ból głowy. Z dnia na dzień musiał zmieniać plany, improwizować, poszukiwać zastępczych rozwiązań. Międzynarodowe sankcje odczuła również reprezentacja. Wypadł z kalendarza między państwowy mecz z Belgią. Kilka gier kontrolnych ze słabymi drużynami w RFN i Francji nie miało tej rangi i wagi. Brakowało hartowania się w prawdziwej walce. Antek nie mógł jednak liczyć na taryfę ulgową. Nie tylko kibicom potrzebny był sukces, autorom stanu wojennego również. Czy spełnią te marzenia piłkarze?

Ale ani ci z WRON-u, PZPN-u, ani kibice nie znali realnej wartości reprezentacyjnej drużyny. Nadzieje opierano na przychylnym losowaniu. Kamerun i Peru z uwagi na większe walory egzotyczne niż sportowe, wydawały się mało groźne, natomiast Włosi od dawna nas się boją. Jeśli uda się z nimi przynajmniej zremisować, to później będzie już z górki. Polacy w pierwszej fazie turnieju zamieszkali w hotelu „Porto Cobo” w miejscowości Santa Cruz w bliskim sąsiedztwie La Corunii. Na inauguracyjny mecz z Włochami w Vigo drużyna wyjechała autokarem już dzień wcześniej. Ja, Mirek Skórzewski z „Przeglądu Sportowego” i Grzesio Stański ze „Sportu” Katowice, następnego dnia pociągiem. Niby pośpieszny, ale włókł się w tempie dziewiętnastowiecznych pojazdów z amerykańskich westernów. Zdania o poziomie bezbramkowego meczu z Włochami były podzielone. Podział punktów zadowolił jednak malkontentów i optymistów.

Rzecznik ekipy Czesław Rowiński, instruktor z KC, trener Piechniczek oraz Boniek i Żmuda uczestniczyli w konferencji prasowej. Dobrze wypadli. Doktor Janusz Garlicki towarzyszył Smolarkowi i Matysikowi w kontroli antydopingowej. Trwało to dość długo, organizmy odwodnione, z trudem sikano. Pito więc piwo, wino, szampana i... dopiero wtedy jakoś to poszło. Specjalnym mikrobusem odjechali do Santa Cruz. W kłopotliwej sytuacji znalazła się jednak znaczna część dziennikarzy. Był stan wojenny, połączenia telefoniczne z Polską – utrudnione, choć dla mundialowych sprawozdawców odblokowane. Robotę wykonali, ale... grubo po północy. Wokół cisza i pustka. Centrum mistrzostw też milczało. Wszystkie pojazdy już w drodze. Co robić?... Polak potrafi. Na plaży spędzono tę noc pełną niespodzianek. O suchym pysku!

W polskiej grupie w pierwszej serii spotkań nie padła ani jedna bramka. Nasze 0:0 z Włochami powtórzyli aktorzy meczu Kamerun – Peru. Niezadowolony z tego powodu był przede wszystkim trener Elba de Padua Lima-Tim. Natomiast Jean Vincent trener Kamerunu ocenił to pozytywnie. W naszej ekipie podział punktów w tym bezbarwnym meczu uznano za dużą niespodziankę. Na „Estadio Riazor” w La Corunie nudziła się cała nasza ekipa, a ja wraz z nią. Nieliczne komentarze były szokujące:

– Sensacja! Ogromna sensacja! – wykrzykiwał kierownik drużyny, Edward Kucowicz. – Kopciuszek z Afryki remisuje z utytułowaną Ameryką Południową!

Zbyszek Boniek, będący wówczas już zawodnikiem Juventusu Turyn zawiadacko mrugnął tylko okiem i równie głośno wyraził swoją opinię:

– Na tych mistrzostwach będą się działy jeszcze większe cuda!... Oby tylko nie w najbliższym meczu Polska – Kamerun...

Jak grają Kameruńczycy? Całkiem po europejsku. Dużo walki, determinacji w obronie i czyhanie na kontrataki. Najlepsi? Bramkarz Thomas N’Kono, atletycznie zbudowany pomocnik Emmanuel Kunde i sprytny napastnik Albert

Roger Milla; autentyczny lider zespołu. Na kwaterę piłkarzy Kamerunu wybrałem się w towarzystwie dziennikarza Dinga Ambe Luke Ado z redakcji „Cameroon Tribune” w Juandzie. Rywale wynajęli cały hotelik „Rias Altos” w miejscowości Santa Cristina. Zatoka, plaża, szum morza. Drugiego takiego miejsca nie ma chyba w całej Hiszpanii. Wymarzone dla przybyszów z Afryki. Hotelik z zewnątrz cały biały, wewnątrz dużo szkła, luster, jasne fotele, czerwone dywany, pozłacane(?) poręcze i błyszczące ściany. Willa, jak świecidełko! A tu jeszcze gra muzyka. Są też kobiety. To żony oficjeli. Zawodnicy nisko się im kłaniają. Intymny mały świat.

Edmund Zientara oglądał zespół Kamerunu dwukrotnie. Najpierw w meczu o punkty z Peru, a potem w moim towarzystwie w grze kontrolnej z II-ligowym zespołem hiszpańskim. Wynik 6:1 dla „niby-kopciuszka” z Czarnego Lądu wywarł na nas duże wrażenie:

– Kamerun – powiedział Zientara na odprawie w „Porto Cobo” – to nie są „kelnerzy”.

Tymczasem w naszej ekipie pojawiły się pierwsze kłopoty kadrowe. W napadzie kontuzjowanego Iwana, u którego doktor Janusz Garlicki stwierdził naderwanie mięśnia dwugłowego lewej nogi, w meczu z Kamerunem ma zastąpić Andrzej Pałasz. Trochę zaskoczyła mnie ta decyzja: – Czy ten drobny chłopiec zdoła wymanewrować rośliwych i sprawnych fizycznie kameruńskich obrońców? Wątpliwości mieli również szefowie naszej ekipy podczas frapującej wycieczki do Finisterre, najdalej na zachód wysuniętego zakątka hiszpańskiej Galicji. Krajobraz i kultura tej części kraju kłóci się z wizerunkiem spalonej słońcem Hiszpanii. Galicja ma kolor soczystej zieleni, z palmami, cyprysami i lasami eukaliptusowymi. Rozdarte serca. Smućą kłopoty drużyny, ale humory poprawia ten niezwykły krajobraz. Góry, także skalne ściany, gaje oliwkowe, na wysokim wybrzeżu moc kościołów z granitu, a tam nisko w dole – cicha tafla Oceanu Atlantyc-

kiego. Kojąco wpływa to na skołatane nerwy. Przechadzałem się po tych cudach natury w towarzystwie Janka Ciszewskiego. Wspomniałem o Pałaszu... Przestrzegałem, że to nie da bramek. Znowu było 0:0...

Zawiodła zwłaszcza druga linia, a w niej także Zbigniew Boniek. Nie był jeszcze „cudownie uzdrowiony” Andrzej Iwan, a już groźnego urazu doznał Jan Jałocha. Kto więc zagra w trzecim meczu z Peru, decydującym o dalszych losach Polski, Włoch, Peru i Kamerunu? Cała czwórka miała na koncie po dwa punkty i równe szanse na awans. Kto pójdzie dalej? Hiszpanie stawiali na Włochów w meczu z Kamerunem i na Peru w spotkaniu z Polską. Mocno już siwiejący Brazylijczyk Tim, trener Peru cieszący się w zespole dużą charyzmą zapowiadał wręcz pogrom „biało-czerwonych”.

Walka na słowa w prywatnych rozmowach i oficjalnych wystąpieniach prasowych rozgorzała na całego. Południowcy ze słonecznej Italii oraz egzotyczni rywale z Afryki i Ameryki Południowej byli znacznie głośniejsi od Polaków. Nasz entuzjazm gasł w oczach. Markotni chodzili piłkarze, kierownictwo ekipy już wytyczało trasę powrotu do kraju, a część dziennikarzy wyżywało się na zawodnikach. Najmocniej dobierano się do skóry Zbigniewowi Bońkowi. Jerzy Wykrota z katowickiej „Trybuny Robotniczej” zadał cios najdotkliwszy; apelował po meczu z Kamerunem, by „przygotować stołek dla pana Bońka”. Równie ostro ocenił jego grę Andrzej Biliński z „Trybuny Ludu”. Upatrywał w nim dwunastego zawodnika rywala.

Było to nieuzasadnione oskarżenie wobec Zbyszka. Mnie też raziała jego słabsza postawa, ale źródeł apatii nie znałem, przeto potępić go w czambuł nie mogłem. Przecież to jest wybitny piłkarz, a nie boiskowa fajtlapa! Dlaczego więc sprawił tak duży zawód? Dlaczego tylko jeden raz w tym meczu pokazał swoje prawdziwe umiejętności i był bliski strzelenia gola? Nie wracał po stracie piłki pod własną bramkę. Brak ambicji czy niedostatki kondycyjne?

Wraz z red. Stefanem Grzegorzcykiem napisałem po Espana'82 dość interesującą książeczkę „TAJEMNICE MUNDIALU”. Czy wszystkie ujawniłem? Otóż nie! Po wywalczeniu trzeciego miejsca na świecie niezręczne było by nadmierne znęcanie się nad kierownictwem ekipy, trenerem i niektórymi zawodnikami. Zresztą, w tej konkretnej sytuacji każde słowo krytyki pod adresem prezesa Włodzimierza Reczka i trenera Antoniego Piechniczka przyjmowano by jako „szukanie dziury w całym”. Znam ten ból, już raz wezwano mnie na dywanik do KC. Nie do końca wyjaśniłem więc kulisy kłopotów naszych piłkarzy w „Rezydencji Gispert” i przyczyny słabszej gry Bońka w meczu z Kamerunem. Tajemnicę „Gispert” wyjawiał mi kierownik reprezentacji Edward Kucowicz:

Po pustych bramkach w meczach z Włochami i Kamerunem zdegustowani i zrezygnowani powoli przygotowywaliśmy się do powrotu. Już mało kto wierzył w awans. Stąd te kłopoty z boiskami treningowymi i porządnym zakwaterowaniem... Po wygranej z Peru zabrakło czasu i możliwości na zapewnienie ekipie lepszego hotelu...

Trzy dni przed meczem z Peru byłem jednak po stokroć większym optymistą, niż większość członków ekipy. Głowiłem się, sam siebie w duchu pytałem, jakich ożywczych trzeba dokonać zmian, by wyjść z cienia, poderwać zespół, przywrócić mu wiarę. Trzeba zacząć od ataku, grającego dotychczas bez ikry i nieporadnie. Olśnienie przyszło w porę, narodził się pomysł. Wykupiłem bilet i autobusem pogałem do Santa Cruz. W hotelu grzecznie zapukałem do pokoju drugiego trenera Bogusia Hajdasa i poprosiłem o rozmowę.

– Ja wywiadów nie udzielam! To przywilej Antka...

– Nie gorączkuj się, tylko posłuchaj – w miarę spokojnie odpowiedziałem na nerwową reakcję wystraszonego gwardzisty. – Mam pomysł... Może to jeszcze nas uratuje?

Hajdas spojrzał na mnie z niedowierzaniem:

– Wierzysz w duchy?... To nie jest dobry klimat do żartów... Ale mów!...

Co tam znowu wymyśliłeś?...

– Słuchaj Boguś!... To, co ci teraz powiem, wymaga jeszcze konsultacji z doktorem Garlickim i... szczerzej rozmowy z Kupcewiczem. Czy mógłbyś zorganizować króciutkie spotkanie, być może już ostatnie na tych mistrzostwach: ty, ja i dwóch Januszów, lekarz i kontuzjowany piłkarz? Sam dobrze wiesz, że potrzebne są zmiany w składzie na mecz z Peru.

– To wiedzą wszyscy w naszej ekipie. Teraz każdy zastanawia się jak zestawić drużynę. Piechniczek też ma ból głowy. Powiedział, że gdyby dziś pięciu ludzi podjęło się tego zadania, to każdy z nich miałby inną koncepcję personalną i taktyczną.

– To się dobrze składa... Do mojego pomysłu na razie potrzeba nas tylko czterech, ale... koncepcja musi być jedna. Myślę, że zwycięska!

– Mów wreszcie o co ci chodzi?

– Zdrowy Kupcewicz w środku pomocy i... Boniek nie na trybunie lecz... na prawym skrzydle... Takie ustawienie jest jeszcze w stanie odrodzić nasz zespół... Kupujesz ten pomysł?

– Ciekawostka... Rozumiem – rozluźnił się Boguś – że w pomocy zagrałyby Lato, Matysik, Kupcewicz i Buncol, a w napadzie widzowski duet Boniek – Smolarek.

– Dokładnie! Tak to właśnie widzę... Wiesz dobrze, że Zbyszek jest ambitny i wciąż pełen optymizmu. Nie potrzebuje bujanego fotela, a tylko szansy na pełne odrodzenie. Napad to frontowe okno drużyny. Tam nie można i nie wypada chować się za plecy partnerów, markować gry, narażać się na gwizdy widowni, być w cieniu kolegów. Tam trzeba walczyć! Boniek to lubi. Będzie miał okazję... także na oklaski. To go zmobilizuje, będzie szalał na połowie Peru! Przecież grać i strzelać bramki potrafi!...

Trener dał się przekonać i... wykonał dobrą robotę. Zwołał zapowiedziane spotkanie i gdy każdy z tego „uzdrowicielskiego kwartetu”: Garlicki, Hajdas, Kupcewicz, Lechowski powiedział „tak”, przystąpił do realizacji ryzykownego zadania. Podsunął ten „ratunkowy wariant” Piechniczкови. W „ciemno” kupił ten pomysł Piotr Czaja, zaś Antek wyraźnie grał na zwłokę. Kontemplował, bo nie przepadał za doradcami i niechętnie słuchał ich pomysłów. W sprawach reprezentacji swoje racje cenił najwyżej, nie chciał „dzielić się pomysłami”... Miał w sobie „coś z Koncewicza”, tu i ówdzie uchodził nawet za dyktatora, ale powoli oswajał się z propozycją Hajdasa. Sprytnie więc tylko przyznał, że pokrywa się ono z jego wizją składu na mecz z Peru. Chyba było mu trochę głupio, że wcześniej sam nie znalazł takiego rozwiązania. Informację Hajdasa przyjął jednak z zadowoleniem:

– Pogadam teraz z Bońkiem, pospacerujemy na osobności i zapytam, co on o tym wszystkim sądzi...

Kapitanem naszej reprezentacji był wtedy Władysław Żmuda. Po upływie wielu, wielu lat zwierzył mi się, że jemu również taki pomysł chodził po głowie. W Santa Cruz w towarzystwie Laty, Janasa, Młynarczyka, Smolarka, Majewskiego i Dziuby też długo zastanawiał się jak zestawiać optymalny skład na ten mecz ostatniej szansy. Wariant z Bońkiem w napadzie i Kupcewiczem w pomocy też brali pod uwagę. Atmosferę niepewności i nadziei przed pojedynkiem z Peru bodaj najmocniej przeżywał właśnie Janusz Kupcewicz:

– Mecze z Włochami i Kamerunem przesiedziałem na ławce rezerwowych. Opuchnięta stopa wciąż dokuczała. Ucieszyłem się jednak, że ktoś jeszcze na mnie liczy. Wierzyłem też w odrodzenie Zbyszka. Wiedziałem, że jest nacisk na trenera Piechniczka... Ale czy nam zaufa? Pełen nadziei mocno ćwiczyłem indywidualnie. Dużą pomoc w tej harówce okazali mi trener Hajdas i doktor Garlicki. Jeden szlifował formę, a drugi leczył nogę...